

Tamte ściany, inne głosy

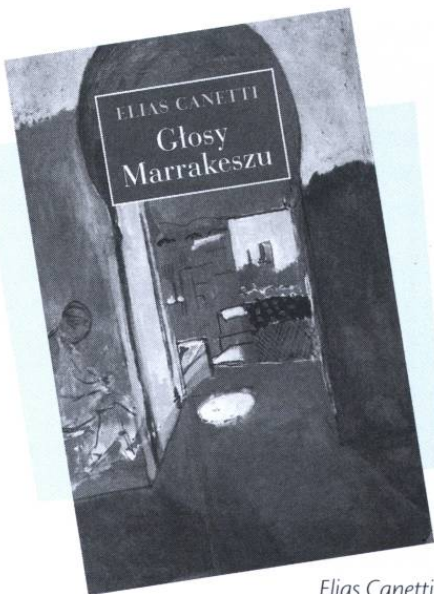
Tomasz Jopkiewicz

*Elias Canetti
nie miał ambicji reportera
ani nie stroił się w szaty
zadumanego moralisty.
Pewnie dlatego jego książka
do dziś zachowała wiele
ze swej mocy.*

„Nigdy bym się nie odważył wyobrazić go sobie takiego, jakim był w rzeczywistości” – pisał Elias Canetti (1905–94) o patriarsze rodu żydowskiego Dahan, którego poznał w Marrakeszu. To spotkanie, a raczej jego opis jest bardzo charakterystyczny dla metody, którą przyjął w tym przypadku autor między innymi *Auto da fé* (1936) i *Pochodni w uchu* (1980). Jak wiadomo, w Maroku pisarz znalazł się właściwie przypadkiem, towarzysząc amerykańskiej ekipie filmowej, postanowił więc wykorzystać okazję, by zwiedzić miasto, unikając przy tym starannie oczywistych turystycznych atrakcji. Tekst powstał w 1954 roku, ale opublikowany został dopiero w 1968, gdy Maroko stało się Mekką hipisów.

Pisarz wyznał, że nie usiłował czarować erudycją, ani też epatować egzotyką, co było w czasach powstawania tekstu dość powszechne. Z premedytacją nie pogłębiał lektur na temat miejsca, do którego przybył, i sądząc po charakterze relacji, należy mu w tym względzie absolutnie wierzyć. Przyjął punkt widzenia zafascynowanego i zdziwionego obcym dla niego światem przechodnia, przybysza niemającego pretensji do zgłębiania i wytrwałego komentowania kulturowych różnic. By naprawdę odczuć obcość, należy pozostać obcym, co paradoksalnie pozwoli odkryć często zaskakujące punkty wspólne – oto zamysł pisarza. Był więc Canetti podróżnikiem nieograniczającym się do – choćby i najbardziej urokliwych czy zaskakujących – impresji. Podróżnik „musi być bez serca” – pisze, i nie jest to w ustach tego subtelnego humanisty zamierzona przewrotność, umyślnie podkreślana sprzeczność prowadząca do szybkiego i błyskotliwie zwycięskiego przewyciężenia, ale raczej jedynie celny opis twórczej metody.

Bo Canettiego nie interesowały łatwe triumfy. Owa przyjęta przez niego metoda zakładała konieczny dystans i nieuleganie



Elias Canetti
Głosy Marrakeszu
Zapiski po podróży

przeł. z niem. Maria Przybyłowska
Gdańsk: „słowo/obraz terytoria”, 2013

113 s. ; 22 cm. – (BIBLIOTEKA MNEMOSYNE)

821.112.2(494)–4

sentymentalnym porywom, które mogą skutecznie zaburzyć proces pilnej obserwacji. Twórca założył zatem z góry, że nie rozpozna obcego świata w całej jego złożoności. Za to z pełną uwagą wpatrzy się w jego powierzchnię, będąc świadomym zarówno swych ograniczeń, jak i tego, że być może ujrzy tam to, co właśnie o nim mógłby ujrzeć. Tak dzieje się z owym mężczyzną opisanym na wstępie: „Poczułem do niego niepohamowaną miłość” – relacjonował narrator. Czyż nie odkrył w nim własnej tęsknoty za ojcem (rodzic Canettiego zmarł wcześniej i niespodziewanie) i za odnalezieniem się choćby w wielce niedoskonałej (rodzinie Dahanów daleko do ideału) wspólnocie rodzinnej i etnicznej, a także pokusy, by stać się częścią ortodoksyjnej, kierującej się czytelnymi regułami, przynajmniej w porównaniu z nim samym, społeczności?

Podążając dyskretnie podpowiadany przez pisarza szlakiem, można zauważyć wiele kolejnych podobnych tropów. W opisach lęku przeczuwających śmierć wielbłądów i obojętnego stosunku arabskich kupców i rzeźników do przygotowywanych do rzezi zwierząt nietrudno dostrzec paralele do krwawych wydarzeń w Europie. Tym bardziej że informatorzy narratora wspominają swój udział w dwóch wielkich europejskich wojnach. Obojętność na cierpienie przy jego powszechności – to jest dla Canettiego doznanie uniwersalne, które napotyka stale. Tak jak i chęć życia pomimo i ponad wszystko, irracjonalna i powszechna. Canetti wielokrotnie opisuje żywioł życia, który kołaczy się w ludziach i zwierzętach do ostatniej chwili przed spodziewanym końcem. Jego uwagę przykuwa stary osioł przymuszany do udziału w jakichś niezrozumiałych dla Europejczyka widowiskach i z trudem trzymający się na nogach. W pewnym momencie zdumiony narrator zauważa, że zwierzęciu sterczy gigantyczny członek, potężniejszy niż kij, którym je bito. „Każdemu uciemienionemu życzę rozkoszy w nędzy” – pisze wtedy poruszony Canetti. Te ziemskie rozkosze mogą być różnego rodzaju. Silny, acz dyskretny erotyzm jest siłą, której zresztą sam ulega, obserwując niedostępne dla niego kobiety, a także z pewnym spokojnym przeżeniem odkrywając podłość, jaka kryje się za związaniem z kolonializmem i religijnymi zakazami utajonym seksualnym handlem.

Owa budząca respekt witalność bardzo łatwo może się wynaturzyć, to nie ulega dla narratora wątpliwości. Lecz jego moralny sprzeciw, choć wyrażony spokojnym tonem, nie brzmi fałszywym – bo zbyt głośnym, ostentacyjnym – oburzeniem, lecz właśnie przez swą powściągliwość wybrzmiewa czysto i mocno. Jak w reakcji na opowieść jowialnego na pozór restauratora Francuza o parszywym dowcipie, jaki ponoć uczynił przed laty z kompanami pewnej nieletniej arabskiej dziewczynie, zmuszonej sprzedawać swe ciało. „On, który zaczął swoje opowiadanie z taką pogardą dla tubylców, teraz sam zasługiwał na pogardę” – pisał Canetti bez chęci łatwego wybaczenia, ale i bez porywu nagłego gniewu. Miarą jego talentu było to, że zauważył, iż jako ów przechodzień zdobył się jedynie na odrobinę brytyjskiego chłodu wobec Francuza.

Z rodzajem spokojnego żalu, ledwie powstrzymywanej nostalgii opowiada Canetti o dwóch dziedzinach dawnych rozkoszy, które Europa jeszcze podówczas nie do końca straciła, lecz proces ich utraty wydawał mu się nie do zatrzymania. Jedna z nich to religijna żarliwość, jaką zauważa wśród miejscowych kupców, ale zwłaszcza wśród żebraków, bynajmniej ich nie idealizując, lecz dostrzegając w ich nawykowych modlitwach refleks potężnej duchowej tradycji. Tradycji wypływającej z pomimo wszystko zbliżonego

do europejskich źródła metafizycznej tęsknoty. Jak w opisywanym w zakończeniu przypadku „człowieka – brązowego tobołka”. Canetti z wielką subtelnością ukazał powikłany splot tego, co duchowe z tym, co cielesne. Wola przetrwania, wola życia łączy się dla niego z reguły z perspektywą głodu wieczności.

Wreszcie zastał w Maroku Canetti jeszcze jedną wspaniałość, chyba dla niego największą: sztukę snucia opowieści, wręcz budzącą jego zazdrość wymieszaną z dumą. „Byłem dumny z władzy opowiadania, jaką sprawowali nad swymi rodakami – pisał o miejscowych mistrzach mówionych opowieści – wydawali mi się moimi starszymi, lepszymi braćmi”. Podczas gdy on sam miał poczucie, że „podał się władzy papieru”. Zaraz jednak dodawał: „Przekonałem się, jak bardzo zgrzeszyłem wobec papieru”.

Owa trudno uchwytna pomimo kulturowych podziałów wspólnota ludzkich doświadczeń być może jest tylko intelektualną iluzją, mrzonką, którą europejski twórca przywiózł w obce miejsce wraz ze sobą. O randze pisarstwa Canettiego świadczy i to, że w pełni zdawał sobie sprawę z takiej ewentualności. Być może ludzie nie potrafią pokonać dzielących ich barier. Ci zaś, którzy gorąco wierzą, że jednak się to uda, odznaczają się – często niebezpieczną, pełną przemocy – naiwnością. A przecież w owym „być może” zawiera się nadzieja, którą można starać się wzmocnić. Canetti bez cienia ostentacji podjął taki wysiłek. W czasach, gdy często relacje z ciągle obcymi, choć tak na pozór bliskimi światami budzą przerażenie lub krótkotrwałe zatroskanie ludzi Zachodu, postawa Canettiego wydaje się aktualna. Cóż z tego, że nie śmiał on sobie wyobrażać ludzi takimi, jakimi są naprawdę? Jako „władca papieru” był w stanie sprawić, że zostali ocaleni w jego spojrzeniu. ●